

Cezary Michalski

Co zostaje z podróży

Książka Krzysztofa Środy niezwykle precyzyjnie potwierdza podejrzenie przesładowane mi od dawna – także jako uporczywego podróżnika. Mianowicie: że jakkolwiek podróż jest niemożliwa. Nie jest możliwe wyrwanie się z pojęć, emocji, a nawet sieci obrazów, w której jest się uwięzionym od zawsze, na zawsze. I które co najwyżej projektuje się na tzw. nowe miejsca, często zanim jeszcze się do nich przybyło. Nie jest możliwe opuszczenie przestrzeni, którą Emily Dickinson nazwała „własnego mózgu niegościnnym wnętrzem”. A w każdym razie nie jest możliwe wyrwanie się z tego miejsca w konwencję uporządkowanej podróży, z której możemy napisać uporządkowane sprawozdanie, reportaż, korespondencję, listy z podróży... Fakt niemożliwości odbycia podróży możemy jedynie w różny sposób maskować.

Krzysztof Środa – pisząc kolejne książki „podróżnicze”, spośród których *Podróż do Armenii i innych krajów* jest podejmowaną raz jeszcze próbą „dotarcia na Kaukaz lub na Zakaukazie” – albo sam zrozumiał, albo pouczyły go wymykające mu się spod kontroli konwencje „literatury podróżniczej”, że niemożliwe jest dla niego dotarcie do świata naprawdę innego, innego w sposób uporządkowany, mającego inną – ale poznawalną dla nas w całej swojej pełni – tożsamość, historię, inne emocje, lojalności. Nie umiejąc kłamać, postanowił być radykalnie szczery.

Co jednak w tej sytuacji pozostało z podróży? Szczegóły, kolory, przedmioty, fragmenty przestrzeni: „pod błękitnym prostokątem stoi stara dwudrzwiowa komoda z dwiema szufladami. Od prawej strony prostokąt jest zamknięty białą framugą drzwi. Wewnątrz ich wysokiej, sięgającej prawie sufitu ramy, na samej górze, znajduje się małe, podwójne okienko zalepione czerwonym papierem. Nie wiadomo, co jest za drzwiami. Wygląda na to, że nie są używane – Warudżan postawił w nich lodówkę”.

Także drobne rytuały, nieskładające się jednak na żaden „wielki uporządkowany sens”, obojętnie, czy będzie to rytuał w ormiańskim kościele, czy jeden z drobnych rytuałów natury: „Mnóstwo żab. Wyglądało na to, że gdzieś wędrowały. A z drugiej strony – wcale na to nie wyglądało. Ich ruchy były zbyt chaotyczne i nie potrafiłem dopatrzeć się w nich żadnego kierunku. Niektóre, nic sobie nie robiąc z oślepiającego blasku światła, po prostu skakały w miejscu – tak jakby chodziło im o

to, żeby za wszelką cenę dostać się tam, skąd spływały potoki wody – a potem opadały bezradnie na mokry asfalt. Tak jakby na swój pokraczny sposób cieszyły się po prostu deszczem. Tak jakby ich życie nie miało żadnego głębszego sensu”.

Te „zbyt chaotyczne ruchy” to synekdocha całej *Podróży do Armenii i innych krajów*. Trudno się zatem dziwić, że brak tu klasycznych jedności czasu, miejsca czy nawet linearności podróży. W każdej chwili możemy się znaleźć na drodze do Erywania, Paryża, jakiegoś miasta w Rumunii, w Polsce. Każda trajektoria w tej książce jest w istocie trajektorią podróży wewnętrznej. Także każdy przedstawiony tu pejzaż jest pejzażem wewnętrznym, w którym nazwy własne, cechy, kształty i zaczątki zdarzeń wzięte spoza podmiotu zostały już dawno wplecione w przepoczwarczającą się nieustannie mapę wewnętrznych lęków.

„Lęków”, bowiem lęk jest w tej książce dominującym odczuciem. Przede wszystkim lęk przed tym, że żadna podróż tak naprawdę w ogóle się nie odbywa, żadne miejsce nie zostanie tak naprawdę odwiedzone, próby dotarcia „na Kaukaz i na Zakaukazie” trzeba będzie ponawiać. Z miejsc, w których – wydaje się – byliśmy, zapamiętamy niewiele. To, co zapamiętamy, nie będzie miało sensu, który dałoby się w sposób uporządkowany przekazać. „Rozmowa [z rzeźnikiem w Erywaniu, przyp. CM] po krótkiej chwili rwie się i zamiera. Zaczynam rozumieć, że nie dowiem się tu już niczego więcej – ani o życiu, ani o Armenii”.

Jest też bardziej klasyczny lęk przed utratą związaną z przemijaniem – bo przecież między jednymi odwiedzinami jakiegoś miejsca a kolejnymi umierają ludzie, których się tam poznało, unicestwieniu ulegają przedmioty. Lęk związany z zapominaniem, gdyż *Podróż do Armenii i innych krajów* jest także ćwiczeniem pamięci. Narrator, trochę po beckettowsku, z głębi własnej izolacji, zamknięcia, próbuje wspominać „szczęśliwe dni” odbytej przez siebie podróży do Armenii, „skąd wróciłem ponad rok temu”.

Dlaczego autorowi tak trudno jest „podróżować”? Pierwsza odpowiedź mogłaby brzmieć: ponieważ Krzysztof Środa był filozofem, zanim został pisarzem. Napisał kiedyś i obronił doktorat z Husserla. I to z redukcji fenomenologicznej. Zbyt bliskie zaznajomienie z tą kategorią z pewnością nie pomaga w tworzeniu literatury podróżniczej „klasycznej”, „tradycyjnej”, sprzed tego kolejnego już „przełomu kopernikańskiego” w filozofii Zachodu. Ale pozwolę sobie na jeszcze jedną interpretację, na biograficzną redukcję. Krzysztof Środa należy do pokolenia, które dojrzewało – a w każdym razie przeżywało swoją traumę zbiorową – na przełomie lat 70. i 80. Działał w drugim obiegu, został zmobilizowany – jak my wszyscy – do demontażu najbardziej pysznego i optymistycznego ludzkiego projektu (komunizmu, socjalizmu realnego). Był – jak my wszyscy – świadkiem rozpadu tego projektu.

Po jego upadku wszyscy świadkowie i uczestnicy tego wydarzenia stali (staliśmy) się mizantropijnymi tropicielami pychy i nietrwałości każdego ludzkiego projektu. Krzysztof Środa dochodzi w tej pracy do ściany, do pustki. „Ludziom nie zawsze starcza sił, by zadbać o porządek, który sami narzucili światu. Trawa coraz śmielej wkracza w boczne alejki, klomby róż tracą wyznaczone im kształty, a wszędzie panoszą się, ku uciesze owadów, niezaplanowane przez nikogo gatunki roślin”. W każdej z takich krótkich apokaliptycznych wizji autora, które składają się na jego „podróże”, budowle się rozpadają, farba łuszczy, konstrukcje stworzone ręką ludzką rdzewieją i ulegają rozpadowi. Nawet niewinny tunel wybudowany w czasach sowieckich pomiędzy centrum Erywania a rzeką staje się w fantazjach narratora naturalną scenerią seksualnych zbrodni i demoralizacji, nie służy już do niczego dobrego.

Ludzie, z których wszelka wiara w świecki mesjaniczny projekt została tak konsekwentnie wypędzona, każdy bardziej trwały ład projektują na byt wyższy i trwalszy niż ich własny gatunek. W tej nietypowej „podróźniczej” książce jedynym sanktuarium trwałego ładu staje się Pismo. „W stolicy urządzili muzeum rękopisów – tak jak inni urządzają w swoich stolicach muzea sztuki, techniki lub chwały własnego oręża. Nazwali je słowem Matenadaran, które w ich niezrozumiałym języku znaczy 'księgozbiór', i umieścili w kamiennej budowli wzniesionej na zboczu wzgórza zamykającego główną ulicę miasta. Podobno część zbiorów, ta najcenniejsza, chroniona jest w wykutym głęboko w skale magazynie – tak żeby księgi bezpiecznie przetrwały każdy możliwy kataklizm. Żeby przetrwały zniszczenie miasta i śmierć jego mieszkańców. Bo chociaż na co dzień tego po sobie nie pokazują, żyją – nauczeni doświadczeniem, więc nie można im mieć tego za złe – w przeczuciu kolejnego kataklizmu. Takiego bądź innego”.

Krzysztof Środa, *Podróże do Armenii i innych krajów z uwzględnieniem najbardziej interesujących obserwacji przyrodniczych*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2012, s. 160

Cezary Michalski (ur. 1963) – publicysta, eseista i prozaik. Komentator „Krytyki Politycznej”, redaktor „Europy”. Wcześniej m.in. pracownik redakcji kulturalnej TVP, był zastępcą redaktora naczelnego „Dziennika. Polska. Europa. Świat”, a następnie jego komentatorem.

Publikacja udostępniana jest na zasadach licencji Creative Commons (CC) Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 3.0 Polska[CC BY-SA 3.0 PL]

